

Jan Drabina

Wywózka Górnoślązaków do ZSRR w 1945 roku

Niepodległość i Pamięć 4/2 (8), 159-169

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jan Drabina

Wywózka Górnosłazaków do ZSRR w 1945 roku

Był mroźny styczeń 1945 roku. Wojska radzieckie I Frontu Ukraińskiego Armii Czerwonej rozpoczęły skuteczną ofensywę na uprzemysłowaną część Górnego Śląska. W wyniku manewru oskrzydłającego już u schyłku miesiąca, a więc jeszcze przed konferencją jałtańską, zostały zdobyte kluczowe miasta tego regionu, jak Gliwice (26 stycznia), Katowice (27-28 stycznia) czy Bytom (28 stycznia). Nie miejsce tu na opisywanie przebiegu walk, w niektórych regionach dość zaciętych. Niepodobna też silić się na ustalenie przerażająco długiej listy ofiar schyłku stycznia tamtego roku - także wśród ludności cywilnej - i to nie tylko niemieckiej.

Dość powiedzieć, że potraktowana została przez zwycięzców nazbyt często z całą bezwzględnością wynikającą być może z chęci krwawego odwetu za zbrodnie SS, Gestapo, Wehrmachtu i władz niemieckich dokonane na terenach ZSRR. Trudno jednak nie odnotować, że radzieccy oficerowie nie zadali sobie trudu wytłumaczenia swoim żołnierzom, że tylko część terenów Górnego Śląska, z Zabrzem i Gliwicami, wchodziła dotąd w skład III Rzeszy, a więc owej, jak ją zwykli zdobywcy nazywać "Germanii", w której granicach obiecywali sobie niecierpliwie oczekiwany moment zemsty za tak wielu pomordowanych. Co więcej, nikt z odpowiedzialnych za postawę szeregowców-krasnoarmiejców nie zadbał ich uświadomić, że znaczną część Górnosłazaków - także w części przynależnej dotąd do Niemiec - stanowili Polacy, którzy mogli się spodziewać nie tylko wspaniałomyślności ze strony zwycięskiej armii ale i życzliwości.

Nie uciekając więc przed zbliżającym się szybko frontem (jak uczyli to wielotysięczne rzesze miejscowych Niemców) stali się, ku swemu pełnemu zaskoczeniu, ofiarami bezkarnych żołdaków. Tak było na przykład w Miechowicach (obecnej dzielnicy Bytomia), gdzie uśmier-

cono około 380 osób cywilnych, w tym kobiety, księdza i dzieci, choć gmina owa zamieszkiwana była wówczas przez zdecydowaną większość Polaków¹. W Gliwicach, gdzie przewaga ludności niemieckiej była ewidentna, w tym samym czasie zginęło 357 osób, a 124 popełniło samobójstwo, w otaczających zaś wioskach pozbawiono życia 480 ludzi².

Sygnalizowany wyżej tytuł moich analiz nie pozwala mi na rekonstrukcję listy ofiar innych miast i wiosek Górnego Śląska. Ale owe, zdawkowo przytoczone informacje zdają się wyjaśniać dalszy ciąg tragedii Górnoszlązaków i jej przyczyny. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że postawy zaprezentowane przez Armię Czerwoną na Górnym Śląsku (nie wspominam tu z braku miejsca o grabieżach, których ofiarami stał się prawie każdy mieszkaniec, ani o setkach, a może tysiącach zgwałconych kobiet), tuż po wyparciu wroga były uwerturą do dalszych aktów tego dramatu.

Zaprezentuję tu tylko jeden z nich - wywózkę Górnoszlązaków do ZSRR, zwaną w źródłach ówczesnych eufemistycznie internowaniem. Poczarek dało im ogłoszenie rozplakatowane w wielu miejscowościach regionu, wzywające mężczyzn do obowiązkowego zgłaszania się w punktach zbornych dla podjęcia publicznych prac porządkowych po zakończeniu działań wojennych. Plakaty napisane w języku niemieckim i rosyjskim mówiły o ludności od 17 do 50 roku życia, grożąc jej ostrymi sankcjami w wypadku zlekceważenia nakazu. Celowo rozsiewane informacje o krótkotrwałości tych prac, o możliwości uzyskania godziwego wynagrodzenia i wyżywienia osłabiły czujność wielu.

Niezależnie od tej akcji podjęto i inną, zmierzającą wszak, jak się wnet miało okazać, do tego samego celu. Wezwano bowiem wszystkich gorników do stawienia się w swoich kopalniach, zabrania ze sobą żywności na dwa tygodnie. Tak długo bowiem mieli pracować przy porządkowaniu. Tak było na przykład z pracownikami KWK "Bytom" (obecnie "Powstańców Śląskich") i "Centrum" w tym samym mieście. Wielu powodowanych poczuciem obowiązku ufnie podażyło na teren swego zakładu. Innych, kończących tam pracę, zatrzymano na miejscu nie pozwalając nawet na pożegnanie z rodziną. Za jeszcze innymi zaczęto chodzić po domach obiecując posiłek i chleb, którego przecież brakowało w każdym z domów.

Rzecz godna uwagi, pracownicy Huty "Baildon" omamieni tymi obietnicami i wizją pracy w sąsiedztwie przy rozładunku węgla na dworcu kolejowym, podażyli we wskazanym kierunku nie bez radości, a pozostali, których kierownictwo huty zatrzymało dla zachowania cią-

1 J. Bonczol, *Działania wojenne i rozstrzelanie ludności cywilnej w Miechowicach*, [w:] *Ofiary stalinizmu na ziemi bytomskiej w latach 1945-1956*, pod red. J. Drabiny, Bytom, 1993, s. 11-64.

2 *Historia Gliwic*, pod red. J. Drabiny, Gliwice 1995, s. 427-430.

głości produkcji, zazdrościli swym kolegom takiej możliwości zdobycia pożywienia.

W innych miejscowościach (np. w Rudzie Śląskiej) władze zapewniły górników, że półroczna praca w kopalniach ZSRR pozwoli podreperować ich budżet rodzinny, jak w okresie międzywojennym w kopalniach Francji czy Belgii. Zarządcy poszczególnych wielkich zakładów przemysłowych otrzymali wyraźne limity osób, które wolno im było zatrzymać w pracy, by wydobycie węgla czy wytop surówki nie ustały.

Archiwa polskie i radzieckie nie zachowały żadnej dokumentacji tej akcji. Nie wiemy też, jakie wytyczne miały w tym względzie władze lokalne. Tu godzi się przypomnieć, że tereny Górnego Śląska należące jeszcze po I wojnie światowej do Niemiec, po wkroczeniu Armii Czerwonej znalazły się pod radziecką wojskową komendanturą przez szereg następnych miesięcy, zanim zostały przekazane polskiej administracji. Nie trzeba dowodzić, że tu właśnie przeprowadzanie takich działań było i prostsze i łatwiejsze.

Z racji sygnalizowanego braku informacji źródłowych niepodobna ustalić, jak wielu Górnoszlązaków zamierzano wtedy zgromadzić dla wypełnienia celów znanych tylko komendanturze radzieckiej. Nie sądzę, by miała ona dostateczne wyobrażenie o liczbie mężczyzn w tutejszych zakładach przemysłowych po przejściu frontu. O jej niezadowoleniu z wyników przeprowadzonej akcji zdaje się świadczyć fakt urządzenia swoistego rodzaju łapanek na ulicach niektórych większych miast (np. w Bytomiu, w rejonie Rozbarku, niedaleko Pogody)³.

Przez kilka następnych dni władze próbowały jeszcze zachować pozory, że wszystko dzieje się zgodnie z zapowiedziami. Stąd skoszarowano mężczyzn zrazu na terenie ich zakładów pracy bądź w prowizorycznych punktach zbornych, pod pozorem konieczności wyczekiwania na transport kolejowy. I choć dostęp do nich był utrudniony, nie był jednak niemożliwy, a więc i możliwość ucieczki wcale realna. Za łapówkę, najczęściej w formie zegarka, można też było uwolnić bliskich. Wydaje się jednak, że niewielu z tego skorzystało, nie dopuszczając myśli, że widzą swoich najbliższych po raz ostatni.

Jest przy tym mało prawdopodobne, by Górnoszlązacy orientowali się w skali całego przedsięwzięcia, a więc i w liczbie skoszarowanych mężczyzn. Dziś na podstawie zeznań i relacji świadków wiemy, że podobozów

3 Zagadnienia wywózki Górnoszlązaków do ZSRR najdokładniej omawiają: Z. Woźniczka, *Z Górnego Śląska do sowieckich łagrów*, Katowice 1996; *Ofiary stalinizmu na ziemi bytomskiej ...*, s. 67-120, 180-191, 228-301. Po części problematyki tej dotyczą: K. Karwat, *Ten przeklęty Śląsk*, Katowice 1996, s. 27-34; Z. Woźniczka, *Z działalności polskiego i radzieckiego aparatu represji na Górnym Śląsku w 1945 r.*, [w:] *Obozy pracy przymusowej na Górnym Śląsku*, pod red. A. Topola, Katowice, 1994, s. 60-76 (nie licząc krótkich artykułów prasowych w dziennikach górnośląskich).

skupiających poszczególne grupy internowanych (tego określenia - tak typowego dla tamtych źródeł, które wyszły spod ręki decydentów - doszukamy się odtąd na każdym kroku) było na Górnym Śląsku sporo: w Chorzowie, Giszowcu, Katowicach Ligocie, Siemianowicach, Świętochłowicach, Szopienicach, Knurowie⁴, Blachowni, Kędzierzynie, Kluczborku, Nowym Bytomiu, Pszczynie. Nawet w cieszyńskiej części Śląska ich nie zabrakło (w Bielsku, Konczycach Wielkich). Trudno też się dziwić ich istnieniu w Zagłębiu (Czeladzi, Wojkowicach, Sosnowcu-Radoszy), które wchodziło w skład organizmu administracyjnego połączonego z Górnym Śląskiem. Próba odtworzenia gęstej sieci podobozów na dość rozległej przestrzeni, wykraczającej nazbyt często poza granice uprzemysłowionej części Górnego Śląska, pozwala unaocznic smutną w swej wymowie prawdę, że w 1945 roku zwycięzcy nie uznali za celowe uwzględnić wielorakie zróżnicowania na tym terenie, ani dotychczasowej przynależności politycznej poszczególnych regionów. Przekonywanie więc społeczeństwa - jak miało to miejsce przez całe późniejsze dziesięciolecia - że internowanie dotknęło wyłącznie niemieckojęzycznych Górnoślązaków jest wierutnym kłamstwem.

Wobec powyższego upaść musi i inny argument mogący w części zalegalizować niniejsze działania, jako zgodne z tak zwanymi reparacjami wojennymi, przysługującymi zwycięzcom kosztem zwyciężonych⁵. Internowani bowiem wchodziłi w swej przygniatającej większości w skład społeczeństwa państwa polskiego, należącego przecież do koalicji, która rozprawiła się z III Rzeszą. Oczywiście, w świetle późniejszych wydarzeń był to zwiastun traktowania polskiego państwa ludowego jako wasala, który poddany zostanie nie tylko sowieckiemu sposobowi sprawowania rządów ale i gospodarczej eksploatacji.

Wszak sposób potraktowania internowanych nawet w świetle powyższych konstatacji szokuje. Już w podobozach traktowani byli gorzej niż jeńcy wojenni, w warunkach urągających międzynarodowym konwencjom w tej sprawie. Jeszcze tragiczniej potoczyły się ich losy z chwilą ich przemieszczania do obozów stanowiących punkty zbiorcze przed wywózką do ZSRR.

Znamy dość dokładnie realia niektórych z nich, szczególnie na ziemi bytomskiej. Wiemy też, w jaki sposób przeprowadzono tam poszczególne grupy. Nazbyt często rezygnowano z jakichkolwiek środków lokomocji, formując pieszą kolumnę przemieszczającą się na stosunkowo dużą od-

4 Nie przypadkowo właśnie w Knurowie, a więc w jednym z miejsc, gdzie w miejscowej szkole założono obóz przejściowy, założono przed kilku laty Stowarzyszenie Pamięci Tragedii Śląskiej w roku 1945, które corocznie gromadzi internowanych i ich rodziny na mszy świętej i wspólnej uroczystości wspomnieniowej. Natomiast Muzeum w Zabrze gromadzi dokumentację tamtych wydarzeń.

5 Na konferencji jałtańskiej w lutym 1945 roku zdecydowano, że w ramach odszkodowań wojennych Niemcy, a dokładniej - ich siła robocza może być wykorzystywana przez mocarstwa zwycięskie.

ległość pod bagnetami radzieckich żołnierzy. Dla obserwatora mogli uchodzić za jeńców, choć cywilne ubrania temu przeczyły, lub za kolaborantów z okupantem, lecz nie za Niemców, bo słychać było tylko polską mowę.

W Łąbędach, bo o tym obozie skupiającym internowanych z wielu podobozów wiemy najwięcej, z kilkunastu domów mieszkalnych wypędzono tuż przedtem ludność cywilną, nie pozwalając jej niczego zabrać. Cały kwartał opustoszałych domostw strzeżono, otoczono zasiekami z kolczastego drutu wzmocnionymi w kilku miejscach wieżami strażniczymi. Dozorcami byli rzecz oczywista żołnierze radzieccy z bronią palną w rękę. Gdy obozowa brama zamknęła się za przybyszami, żaden z nich nie mógł już jej przekroczyć ani żaden z zewnątrz nie mógł się przybliżyć do zasieków.

"W tym czasie zastrzelili sowieccy żołnierze jednego cywila, który nieopatrznie zbliżył się do zasieków [...]" - wspomina Edward Dolibóg z Radzionkowa, który w momencie pobytu w łąbędzkim obozie miał 35 lat.

Zeznania innych są zgodne z tym, że podczas pobytu w obozie nikt nie dostawał żywności, chociaż siedzieli tu niekiedy kilkanaście dni. Albowiem dopiero gdy ich liczba sięgnęła tysiąca osób doprowadzono tak liczną grupę do stacji kolejowej w tej samej miejscowości bądź w bardziej odległych Pyskowicach.

"Po zbudowaniu szerokiego toru kolejowego załadowano wszystkich do pociągu towarowego. Wagony nie posiadały żadnego wyposażenia. Wszyscy siedzieli więc i spali na podłodze.

Nie było również piecyków. Jako ustęp służyła dziura wyrżnięta w podłodze wagonu i zaopatrzona w ściekową rynienkę" - relacjonuje Ryszard Kolasa mieszkaniec Bytomia-Stroszka, który wtedy miał 36 lat. Lepiej zapamiętał, a może tylko dokładniej opisał, ten fragment swej krzyżowej drogi Stefan Hepa z Radzionkowa. Miał wtedy 33 lata. Różnice w relacjach biorą się chyba i stąd, że zapewne nie jechali tymi samymi pociągami.

"W dniu 10 marca 1945 r., na stację podstawiono pociąg złożony z krytych wagonów towarowych, do których załadowano uwięzionych, po 40 osób do jednego wagonu. Więźniowie musieli sami sobie zbić przycze ze świeżego drzewa. W wagonach były piecyki, ale nie było opału. Nie było również ustępów. Pozostawały więc kubły, które następnie trzeba było opróżniać przez okno wagonu. Transport trwał 11 dni. Pociąg był konwojowany przez cywilnych Rosjan, którzy w czasie przejazdu przez polskie miasta informowali kłamliwie ich mieszkańców, że konwojują niemieckich SS-manów. Więc mieszkańcy miast (szczególnie Krakowa) obrzucali wagony kamieniami"⁶.

6 Wszystkie cytaty z relacji złożonych przez jeszcze żywych mieszkańców Radzionkowa i Rojcy (dziś dzielnice Bytomia), którzy zostali internowani i wywiezieni do ZSRR - *Ofiary stalinizmu...*, s. 255 nn.

Oczywiście czas trwania podróży w tych nieludzkich warunkach był różnicowany w zależności od szybkości transportu, a jeszcze bardziej od stacji docelowej. Wszyscy internowani z ziemi bytomskiej wymieniają Donbas jako miejsce ich wywózki. I trudno się dziwić, skoro większa ich część była górnikami. Nie do końca można było rozpoznać kopalnie, w których tu pracowali. Jedni wspominają Stalino inni Woroszyłowsk. Niektórzy twierdzą, że wywiezieni zostali za Ural, inni że do miejscowości Trudnoskaja za Wołgą, a nawet do Karagandy w Kazachstanie. W tym ostatnim wypadku podróż trwała 40 dni.

Na tej podstawie na obecnym etapie badań trudno silić się na sporządzenie mapy radzieckich łagrów dla Górnoszlązaków.

Ich ponury obraz można jednak odtworzyć z dość dużą dokładnością, choć trudno jednoznacznie rozstrzygnąć, jaki pierwszy cel miały do spełnienia: dostarczyć siły roboczej radzieckim kopalniom czy eksterminować internowanych. Ich relacje zdają się wskazywać, że niestety o drugą ewentualność chodziło. By nie być gołosłownym przy formułowaniu tak ciężkich oskarżeń pozwalam sobie na przytoczenie kilku relacji żyjących dotąd w Bytomiu i okolicy więźniów tamtych łagrów⁷.

"Kopalnia miała 45 metrów głębokości. Urobek wydobywano po upadowej za pomocą kołowrotka. Na powierzchni węgiel wysypywano na drewnianą rampę i stamtąd "nosiłkami" ładowano do wagonów kolejowych. Pałace się hałdy węgla gaszono poprzez przrzucanie węgla łopatom. Wyżywienie było bardzo marne: na śniadanie i obiad dawano kapustę z olejem, a na kolację dwa małe bochenki chleba na 5 osób, do tego dwie łyżki stołowe otręb. Nie dawano nic do picia. Internowani "łapali" parę w kotłowni, skraplali ją i zaprawiali dzikim piołunem i używali tego zamiast herbaty".

"Praca (w kopalni) trwała przez 8 godzin na dobę. Miesięczny zarobek wynosił 300 rubli, ale pieniądze ledwo starczyły na opłacenie dziennego wyżywienia... Internowani nie byli bici przez dozór, ale za wykroczenia byli karnie osadzani w bunkrze o wymiarach 1m x 1m x 2m. Na uwięzionych z góry kapała woda [...]"

"Nie wolno było pisać listów. Władze obozu dokonywały często przeglądu osobistych rzeczy internowanych. Była to okazja do okradania więzionych przez strażników i ich oficerów".

"W obozach tych umierało wiele osób z reguły z wycieńczenia i głodu. Nie były to zgony nagłe - gwałtowne. Ja w obozach miałem 30 kg wagi ciała".

7 Cytaty pochodzą z zanotowanych przez R. Wrodarczyka wypowiedzi internowanych mieszkańców niektórych dzielnic Bytomia (zob. *Ofiary stalinizmu...*, s. 255-288 (aż 65 zapisów) i z protokołów sporządzonych w trakcie zeznań internowanych przed Okręgową Komisją Badania Zbrodni Stalinowskich Przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach (część przytoczył Z. Woźniczka, *Z Górnego Śląska...*, s. 63-99).

"Ponieważ więźniowie nie wytrzymywali trudów pobytu w obozie, dokonywali zamachów samobójczych [...]. Tych, którzy zmarli lub popełnili samobójstwo grzebano w dołach poza rejonem obozu. Byli oni grzebani nago [...]. Racje żywnościowe były małe, co powodowało, że podobnie jak inni więźniowie chodziłem na wysypisko śmieci na terenie obozu, skąd brałem resztki pożywienia konsumując je następnie. Najczęściej były to zgniłe śledzie, jedliśmy również trawę".

"W tym obozie dostawaliśmy tylko do jedzenia kiszone pomidory i suchy chleb, picie musieliśmy sobie sami organizować. Był to roztopiony śnieg albo surowa woda".

"Na jedną osobę otrzymywaliśmy 200 gramów chleba codziennie oraz zupełną pęczakową ze słonymi małymi rybkami. Po spożyciu tych posiłków ludzie chorowali. Obóz był otoczony drutami kolczastymi i pod dozorem funkcjonariuszy rosyjskich. Fabryka, w której pracowałem, też była ogrodzona drutem kolczastym. Z obozu byliśmy doprowadzani i odprowadzani pod konwojem... Za próbę ucieczki dostaliśmy 15 dni karceru. Była to specjalnie wybudowana cela o wymiarach, że nie można było się położyć, można było jedynie usiąść lub stać. Cela była bez okien. Mieliśmy otrzymywać wyżywienie 200 gramów chleba i szklankę wody dziennie. Niestety otrzymywaliśmy tylko szklankę, czasem nawet nie było wody, a chleb po drodze niosący sam żołnierz zjadał. Tak przetrwaliśmy karę 15-dniową. Po 15 dniach przyszedł komendant i pytał pilnującego nas żołnierza "czy już zdechli". Po otrzymaniu odpowiedzi, że jeszcze nie "podochli" komendant dołożył nam jeszcze 3 dni karceru bez jedzenia i picia".

"Kiedy zwiedzałem obóz oświęcimski po wojnie i zwiedzał go również Pałys, to wspólnie stwierdziliśmy, że warunki w Oświęcimiu były o wiele lepsze niż w naszych obozach w ZSRR".

"Wyżywienie składało się z kapusty i chleba z wodą [...]. Ale również okradano przydziały obozowej żywności. Tylko niewielka jej część trafiała do rąk internowanych. Za błahe przewinienie więźniowie byli bici kijami i laskami przez sowieckich wojskowych [...]".

"Ustępy stanowiły głębokie doły o wymiarach 3m x 10m. Sowieci żartując z internowanych obiecywali im, że jeśli wypełnione zostaną dwa takie doły, będą mogli pojechać do domu. Na bazarze nie można było kupić jedzenia tylko tytoń. W sierpniu 1945 r. trzykrotnie prowadzono nas do stacji kolejowej obiecując, że pojedziemy do Polski, ale wracaliśmy do obozu, bo nie było tam wagonów [...]".

"W obozie panowała duża śmiertelność. Każdego dnia wywożono trupy furmanką [...]".

"Węgiel transportowany był do przekopów za pomocą łopat, a stamtąd ładowany do półtonowych wagoników, które za pomocą liny i ko-

łowrotka wyciągano na powierzchnię. Za popełnione wykroczenia internowanych kopano. Za jedzenie trzeba było płacić [...]. Od czasu do czasu można było kupić sobie szklankę herbaty. W obozie przebywało około 600 osób, śmiertelność była wysoka [...].

"Za pracę w kopalni płacono po 300 rubli miesięcznie, a za "wyżywienie" trzeba było płacić 10 rubli na dzień. Chorzy nie pracujący otrzymywali tylko połowę porcji chleba. Ludność cywilna przychodziła pod obóz z garami grochówki. Chochla takiej zupy kosztowała jednak jeden frotowy ręcznik, jeden chleb - 70 rubli, za porządne spodnie można było nabyć półtora bochenka. Kawalek papieru kosztował jednego rubla [...]."

Różnice w relacjach nie są na pewno efektem braku pamięci internowanych, lecz świadczą raczej o zupełnej dowolności w traktowaniu więźniów w każdym z obozów. Z opowiadań rodzin internowanych (wszak ogromna ich większość już nie żyje) wynika, że często dozorczy w sposób perfidny igrali z życiem uwięzionych. Tytułem przykładu fakt, iż po zaserwowaniu im długich, grubych śledzi obsypanych gruboziarnistą solą celowo zakrecono kurki z wodą do picia. Eksterminacji miała służyć nie tylko nad wyraz ciężka praca, nie wsparta żadnymi mechanicznymi udogonieniami (być może taki był stan radzieckiej gospodarki), ale i duże zagrożenie czyhające w kopalniach (więźniowie pracowali be butów, hełmów i rękawic ochronnych). Wszystko to wraz z niedostatkami pożywienia i napoju (internowani często wspominają o konieczności picia wody ze stawu) przyczyniało się do zdumiewająco wysokiej śmiertelności (jeden z więźniów mówi o liczbie 20 zmarłych na dzień).

Nie można przy tym zapomnieć, że relacje, jakimi dysponujemy, pochodzą od osób, które przeżyły. Były one w chwili osadzenia ich w łagrach młodsze od innych lub bardziej wytrzymałe (zdrowsze). Obraz obozowego piekła byłby zapewne bardziej ponury, gdyby odmalować go mogli przed śmiercią zmarli z wycieńczenia, z głodu, pragnienia lub przemysłnych tortur. Pod tym ostatnim sformułowaniem myślę nie tylko o sposobie karania fizycznego lecz i o znęcaniu się psychicznym, nade wszystko zaś gaszeniem ludzkich nadziei na powrót do domu poprzez wyprowadzanie internowanych z łagru na stacje kolejowe i skazywanie ich na wyczekiwanie na transport-nieistniejący.

Nie można przy tej okazji nie postawić pytania o liczbę ofiar wózek, a więc tych, którzy zmarli w czasie transportu, w jedną czy drugą stronę, bądź na miejscu, w łagrach. Niestety każda próba poczynienia rzetelnych ustaleń w tym względzie napotyka liczne trudności. O jednej z nich, najbardziej podstawowej - braku zapisów urzędowych na ten temat - mówiłem już wcześniej. O drugiej, polegającej na

kamuflażu w polskich statystykach urzędowych radzieckich zbrodni - nie wolno też zapomnieć. Okazuje się bowiem, że Urzędy Stanu Cywilnego, najpewniej na polecenie zwierzchników, wpisując nazwiska zmarłych w sowieckich łagrach nie odnotowywały faktycznego miejsca zgonu posługując się dezinformacją: "zmarł w rejonie działań wojennych", bądź "zmarł poza granicami państwa". W tej sytuacji bez kompleksowych badań, szczególnie w rzetelnie prowadzonych zapisach Urzędów Parafialnych, a także rozmów z ofiarami lub ich rodzinami, nie można silić się na rozwiązanie tej ważnej kwestii. Szansa bowiem na znalezienie pełnej dokumentacji łagrów w archiwach rosyjskich jest więcej niż mała.

Nie można jednak przy tej okazji zbyć milczeniem "Spisu polskich obywateli-górników, wywiezionych do ZSRR z początkiem 1945 roku z terytorium Górnego i Opolskiego Śląska" sporządzonego pod koniec 1946 roku przez Generalnego Pełnomocnika Rzeczypospolitej Polskiej do Spraw Repatriacji. Ten obszerny dokument, spoczywający w Muzeum Miejskim w Zabrze, spisany został w językach polskim i rosyjskim, a 9877 nazwisk (na 391 stronach) uszeregowano według rosyjskiego alfabetu⁸.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że to niezwykle ważne źródło do poznania liczby i nazwisk internowanych (nie tylko Górnoszlązaków) powstało na podstawie danych dostarczonych przez poszczególne gminy w 1946 roku na temat osób wywiezionych do ZSRR i skazanych tam na prace przymusowe. Największą, jak można mniemać, inicjatywę w tym względzie wykazał Polski Związek Zachodni, który w swoich obwodach współpracował z miejscowymi urzędami. Te zaś przyjmowały zgłoszenia od rodzin internowanych. Dziś trudno dociec, czy upomnienie się po przeszło roku o wywiezionych wyszło tylko ze strony najbliższych, czy też z kręgów kopalnianych (brak rąk do pracy był tu częściowo niwelowany przez zatrudnienie więźniów rekrutujących się z wielu obozów pracy rozlokowanych nie tylko na Śląsku).

Ale kompleksowe badania fragmentów listy internowanych na ziemi bytomskiej wykazały duże nieścisłości. Dość powiedzieć, że spis mówi o 575 wywiezionych z Miechowic (dziś dzielnica Bytomia), a z naszych analiz wynika, że 450 mieszkańców tej gminy zmarło w ZSRR, a prawie tyle samo stamtąd powróciło⁹.

8 Spis ów zaczęto sukcesywnie publikować czasopismo "Górnik" (1990 r.), a ostatnio przytoczył go w całości (bez prób jego weryfikacji i podsumowań) Z. Woźniczka, *Z Górnego Śląska...*, s. 102-337. Spis wykorzystany został (ale poddany weryfikacji) dla obecnych dzielnic Bytomia - *Ofiary stalinizmu...*, s. 25-308.

9 Jeśli przyjąć liczby ze spisu, najwięcej osób internowano w Bytomiu (1529), Zabrze (1088), Szombierkach, Bobrku, Miechowicach (575), Gliwicach (568), Rokitnicy i w Krabiu (po 456), Stolarzowicach i Górnikach (328).

Przyczyn tych niedokładności było sporo. Po pierwsze, w wykazie brak osób, które przed sporządzeniem spisu już powróciły. Po drugie, rodziny nie zawsze zgłaszały zaginionych, nie mając pewności, czy zostali internowani czy też zginęli w innych okolicznościach. Po trzecie, jest wielce prawdopodobne, że w niejednym domu rodzinnym nikt już nie pozostał, by mógł się upomnieć o wywiezionych.

O jakiej skali niedokładności możemy w tym wypadku mówić? Zda się, że spis ujął zaledwie 35% nazwisk wywiezionych. Za tym obok sygnalizowanych wyżej naszych badań przemawiają dane z dwóch innych dokumentów. Pierwszy, opracowany w końcu lat czterdziestych XX wieku przez Ambasadę Polską w Moskwie dla Bolesława Bieruta, podaje 15 tysięcy osób wywiezionych z Górnego Śląska i skierowanych do pracy w kopalniach w ZSRR, a "potraktowanych przez władze sowieckie niesłusznie jako Niemców". Drugi stanowił własność Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach oraz Zarządu Okręgu Polskiego Związku Zachodniego w tymże mieście¹⁰. Tu na imiennych listach sporządzonych w poszczególnych powiatach i miastach figuruje około 25 tysięcy nazwisk.

Zygmunt Woźniczka badający te zagadnienia w oparciu o zasoby archiwalne wskazuje na możliwości badawcze wynikające z dość lakonicznych danych zawartych w dokumentacji radzieckiej. Wynika z niej, że w połowie czerwca 1945 roku w obozach i więzieniach sowieckich pozostawało przeszło 25 tysięcy obywateli polskich, że byli to "Niemcy zmobilizowani na niemieckim Śląsku, uważający się za Polaków", a w lipcu tego roku prawie 35 tysięcy "wojennoplemiennych Polaków" służących w Wehrmachcie, zaś w lutym 1947 r. przeszło 10 tysięcy, w tym 3320 "Polaków pochodzenia niemieckiego".

Ilu z nich powróciło? Jeśli zawrzeć dokumentowi z września 1949 roku tylko 5603 osoby miały to szczęście, a więc około 20% wywiezionych. Śmiertelnych ofiar byłoby znacznie więcej, gdyby czas internowania się wydłużył. Na szczęście kilkanaście miesięcy po pierwszych wywózkach podjęto akcję na rzecz uwolnienia Górnoślązaków. Wcześniej wyakcentowałem aktywność Polskiego Związku Zachodniego w tym względzie, choć niepodobna nie mówić o roli niezadowolonej górnośląskiej społeczności ze sposobu jej traktowania przez wojskową komeńdanturę radziecką i komunistyczne organa władzy terenowej.

Z tego powodu nie warto eksponować zasług ówczesnego wojewody śląsko-dąbrowskiego Aleksandra Zawadzkiego w uwolnieniu internowanych. Nawet na aktywność jego zastępcy, wicewojewody Jerzego Ziętka

10 Spisy wywiezionych z poszczególnych powiatów województwa śląsko-dąbrowskiego - Archiwum Państwowe w Katowicach, Wydział Społeczno-Polityczny, 185/II-213-242/. Spis Polskiego Związku Zachodniego, Zarząd Okręgu Katowice, tamże 271/II-125-157.

należy patrzeć z dużą dozą krytycyzmu, choć powołał specjalną komisję do spraw ujawniania więźniów sowieckich łagrów. W ich bowiem poczynaniach, a także w zabiegach centrali Przemysłu Węglowego, widać daleko posunięty serwilizm wobec władz radzieckich. Nawet wspomniany spis osób wywiezionych do ZSRR nie jest od niego wolny. Jest w nim mowa o "nadziei, że władze radzieckie odniosą się do tej sprawy przychylnie", a także prośba (!) "o udzielenie pomocy w poszukiwaniu i repatriowaniu wymienionych obywateli polskich".

Trudno przy tej okazji nie podzielić się domniemaniem, że istotniejszy wpływ na wypuszczenie Górnoślązaków z łagrów miała zmiana w sytuacji międzynarodowej, szczególnie zaś decyzje wielkich mocarstw o uwolnieniu jeńców wojennych, niż apelacje władz wojewódzkich. Owszem, pierwsi z nich zaczęli powracać do domów już w jesieni 1945 roku, ale ostatni dopiero w 1950 roku. Nie wiemy, co decydowało o kolejności wydawania przepustek uprawniających do powrotu. Możemy się jedynie domyślać, że i w tym wypadku nie próbowano temperować samowoli dozoru, który mógł ową kartę do wolności w każdej chwili zniszczyć. Stąd wyczekiwanie na transport podszyte nadzieją nie było wolne od osobistych tragedii.

Podróż do kraju odbywała się już w lepszych warunkach, choć nie trwała krócej. Nie wszyscy też z racji wycieńczenia dojechali żywi. Każdy z nich wrócił zawoszony, schorowany, opuchły z głodu, nierzadko okaleczony, ubrany w łachmany (tylko niektórym w trakcie transportu zmieniono ubranie). Pociągi, którymi jechali, kierowano celowo do Ławy, Poznania bądź Frankfurtu nad Odrą. Niektórych transportowano jeszcze dalej, do Lipska i okolic. Traktowano ich bowiem jak Niemców, jako niemieckich jeńców wojennych, których osadzano nawet w obozach przesiedleńczych we wschodniej części Niemiec. Czyniono tak najczęściej w 1949 roku. Wcześniej natomiast Górnoślązacy nierzadko po wyładunku w Wielkopolsce bądź na Pomorzu Zachodnim musieli jeszcze pracować przy żniwach zanim pozwolono im wrócić do domów.

Tu czekały ich stęsknione rodziny ale i nowe szykany. Część z nich znalazła się pod milicyjnym dozorem, inni nie zostali przyjęci do pracy do swoich kopalni, a ich dzieciom odmówiono nie tylko materialnej pomocy ale i nierzadko dostępu do szkoły.

Tak ojczyzna witała swe sponiewierane i umęczone dzieci, z których niejeden w czasie powstań śląskich walczył - o ironio - o powrót tych ziem do macierzy.